

Dobre mury to lepsze sąsiedztwo

Daniel Greenfield

Wielka Brytania buduje mur mający uniemożliwić imigrantom z „Dżungli” w Calais, którzy już około 22.000 razy nielegalnie znaleźli się na drodze do portu, atakowanie samochodów i ciężarówek.

„Dżungla” jest koszmarem dla lokalnej ludności terroryzowanej przez hordy imigrantów pragnących przedostać się na Wyspy.

Francuzi obwiniają Brytyjczyków, a Brytyjczycy Francuzów. Jednak inwazja imigrantów nie jest winą nikogo z nich osobno. W pewnym sensie jest to wina wszystkich członków Unii Europejskiej. Otwarte zaproszenie ze strony kanclerz Merkel, zachęcające imigrantów do inwazji, podobnie jak kryzys w Calais stało się okazją do szukania winnych – i to nie wśród krajów wpuszczających imigrantów, tylko tych, które nie chciały ich przyjąć. Kraje wschodnioeuropejskie najczęściej obwiniano o to, że nie chciały mieć należnego „wkładu” w cudowny pomysł utrzymania otwartych granic, czyli pozwolenia, żeby każdy bez problemu mógł je przekraczać.

Zamiast zbliżać kraje do siebie, otwarte granice prowadzą do konfliktów. Strefa Schengen nie zjednoczyła Europy. Nawet jeszcze przed pojawieniem się w niej hord muzułmańskich imigrantów, intensywna imigracja zarobkowa do Wielkiej Brytanii zaczęła generować napięcia, które później stały się jedną z przyczyn Brexitu.

Najważniejszym źródłem napięć między USA i Meksykiem też jest otwarta granica. Jest ona złem nie tylko dla USA, ale również dla Meksyku. Chociaż przynosi korzyści materialne, są one skutecznie niwelowane przez poczynania przyciąganych do niej przestępczych karteli i nielegalnych imigrantów.

Zwolennicy globalizmu nie rozumieją, że dobre mury naprawdę stwarzają lepsze sąsiedztwo. Kraje odgródzone od siebie murami mogą okazjonalnie wzajemnie się atakować, ale brak murów oznacza, że inwazja trwa nieustannie. Chociaż mury zostały zburzone w imię pokoju, ich brak powoduje, że pokój staje się niemożliwy.

Kiedy wybuchają wojny, grupa obcokrajowców pojawia się w twoim kraju, żeby odebrać ci cały dotychczasowy sposób życia. Obywatele wielu krajów zastanawiają się obecnie, czy pokój oferowany przez świat bez granic w ogóle czymś się różni od wojny.

Kraje kontrolujące własne granice mogą wynegocjować koniec konfliktów. Jeśli nie kontrolują swych granic, mogą jedynie wzajemnie się obwiniać. Kiedy zaczyna brakować państwa, masowa migracja i tak ponownie ustanawia granice i narody. Miliony muzułmanów dokonujących inwazji na Europę to tylko jeden przykład. Od jakiegoś czasu podobny ruch masowy odbywa się z Afryki wzdłuż całego Bliskiego Wschodu. Jego rezultatem nie jest integracja, tylko trybalizacja. Świat bez granic, mający wyeliminować tę klanowo-plemienną świadomość, uczynił ją silniejszą niż kiedykolwiek.

Trybalizm nie zniknie po wyeliminowaniu granic, zniknie natomiast zdolność ograniczania konfliktów plemiennych.

CYTAT

Pomyślmy o islamskim terrorze jako konflikcie międzyplemiennym. Migracja sprowadza tę rozdzierającą Syrię, Afganistan czy Irak przemoc wprost do naszych społeczeństw i w sposób nieunikniony prowokuje reakcję rodzimego trybalizmu europejskiego.

Republiki mogą górować na trybalizmem tylko poprzez utrzymywanie wrogich plemion z dala od siebie. Kiedy uzbiera się dość pustego idealizmu, utraconych miejsc pracy i martwych ciał na ulicy, republika upadnie i znów zatriumfują plemiona i klany. Zamiast dokonać transformacji państwa narodowego, otwarte granice raczej je wskrzeszają i to na zupełnie nowych warunkach.

Bieżąca sytuacja polityczna w Ameryce i w Europie dobitnie pokazuje, że eliminacja granic nie eliminuje konfliktów. Obama lubi rozwodzić się nad nieuniknionym zwycięstwem jego „słusznej strony historii”. Czy Brexit i Trump pod jakimkolwiek względem przypominają tę słuszną stronę historii?

Historia raczej zatacza koło, niż ma jakieś strony. Zamiast dotrzeć do końca historii wraz z ustanowieniem „rządu światowego”, lewica wskrzesiła stary konflikt między migrantami-nomadami, a osiadłymi rolnikami. Rolnik uprawia ziemię. Rozwija różne umiejętności tworząc w końcu osiadłą cywilizację. Nomad to praktycznie analfabeta. Oprócz stosowania prymitywnej przemocy niewiele potrafi. Atakuje cywilizację, wysysa do cna ich zasoby i biegnie dalej. Tak w dużej mierze wygląda obecne zderzenie cywilizacji.

Wielki wysiłek tworzenia światowego pokoju doprowadził naszą cywilizację do sytuacji, w której na własnych ulicach musi walczyć z niszczącymi wszystko wandalami. Takie są konsekwencje błędnego myślenia, że granice nie pozwolą nam zawierać przyjaźni z ludźmi po drugiej stronie. Tak naprawdę granice pomagają nam uniknąć zostania wrogami.

Ogrodzenia czy oznaczenia granic dzielących pola uprawne i pastwiska rolników zapobiegają sporom o ziemię. Utrzymują dzikich lokatorów z dala od czyjejś własności. Są ucieleśnieniem funkcji prawa zapobiegającego konfliktom poprzez jasne określenie zakresu odpowiedzialności każdej osoby.

Usuńcie je, usuwając tym samym prawa i obowiązki – i już macie gotowy konflikt.

Ideałem nie jest świat bez granic. Nikt z nas nie chciałby, żeby każdy o dowolnej porze miał prawo kręcić się po naszej kuchni. Dla większości ludzi byłby to koszmar.

Państwo, do którego każdy może wniknąć o dowolnej porze też jest koszmarem. Zrozumienie tego zajmuje trochę więcej czasu, bo to nie przez naszą kuchnię ci ludzie zazwyczaj przechodzą. A w dniu, kiedy rzeczywiście zaczną kręcić się nam po kuchni, często będzie już za późno. Kłopoty zaczynają się na obrzeżach: w miastach granicznych i portowych, w dzielnicach robotniczych, które już wcześniej miały problemy. Łatwo jest je zlekceważyć i nie zawracać sobie nimi głowy.

I nagle, dekadę czy dwie później okazuje się, że 1400 dziewczynek było gwałconych przez muzułmańskie gangi w Rotherham, albo że ISIS ma bazę w Brukseli. Ale to wcale nie dzieje się nagle. Po prostu zbyt wielu ludzi, którzy nie pozwoliliby obcym wejść do swojej kuchni, nie przejmowało się tym, kto przybywa do pogranicznych miast Teksasu albo problematycznych dzielnic Marsylii czy południowego Tel Awiwu.

To ich nie dotyczyło. Aż do chwili, kiedy zaczęło ich dotyczyć. Albo dopiero zacznie.

Pomysł budowy płotu na południowej granicy jest wyśmiewany. Mur bezpieczeństwa w Izraelu jest celem hipsterów z całego świata, chcących pokazać na Instagramie zdjęcia swych teatralnych protestów. Nawet papież Franciszek zrobił numer z modlitwą przed betonową ścianą, obsmarowaną graffiti z hasłami „Wolna Palestyna”.

Ale mury to dobra rzecz. Ogrodzenia wokół naszych domów chronią nie tylko nieruchomość, ale również naszą tożsamość. To ogrodzenie czyni zamieszkiwanie domu czymś pełnym godności. Godność bierze się z posiadania prywatnych sfer. Tożsamość opiera się na umiejętności wybierania kim jesteśmy, a kim nie, jako jednostki, społeczeństwa i narody.

Unia Europejska rozpada się, ponieważ próbowała znieść zbyt wiele barier i granic. Wielu jej obywateli doświadcza obecnie poczucia braku kontroli, tożsamości, a nawet godności na poziomie jednostkowym i narodowym. Kolektywizm może przynieść jakieś chwilowe ukojenie, ale na dłuższą metę jest demoralizujący.

Być po właściwej stronie historii to opowiedzieć się za indywidualizmem, a nie za kolektywizmem. Jednostka musi budować mury. Za ich pomocą określa warunki, na których będzie chciała wchodzić w interakcję ze światem zewnętrznym. To owe mury chronią ją przed kolektywistycznymi impulsami. To za nimi może się schronić, ale może je też opuścić na swoich własnych warunkach. I to jest prawdziwa wolność.

Rolka, na podst. www.frontpagemag.com